

## Moje maleńkie jastruniana

Prawdziwą miarą wielkości jest jednak zdolność dostrzeżenia wielkości w innych („Ceniony poeta i opozycjonista. A też dobry felietonista” – pisze o Antonim Słonimskim). Nawet bardzo różnych od nas: „Ojciec na niego [Słonimskiego] narzekał, że jest narcystycznie skupiony na sobie”.

Czytany jest przecież pan Tomasz od wielu lat, pamiętam wzruszenie towarzyszące jego tomikom wydawanym przez Przedświt i NOWą, cykl korespondencji w „Kulturze”, spory o powieść rozliczającą stan wojenny. Ale teraz ukazał się jego „Alfabet polifoniczny” (Iskry, 2024), czyli podgatunek anegdot i portretów, praktykowany ongiś przez jego znajomych – Miłosza, Kisiela – a ukazujący autora w tak niezwykłym świetle, że aż chce się, pomijając już doniosłą wartość biograficzną, przekazać coś z ducha i usposobienia tych na pozór błahych, cząstkowych zapisków. Choć po niektóre, najbardziej werystyczne – co pewna żona powiedziała złęgo o swoim mężu, kto pośmiertnie, jako snob, uradował się płytą nagrobną współdzieloną z teściami o historycznym nazwisku, komu pecyna śliny frunęła przez stół przy publicznym obiedzie – nie dam niestety rady się schylić, za nisko.

Żeby nie było – potencjalni czytelnicy otrzymują przestrożę, przynajmniej jeśli idzie o część treści. „Ostrzegam, będę się trochę chwalił cytując sądy innych o mnie”. Nie jest to przestroga błaha ani zbyt uczynna.

„Zawsze miała do mnie słabość jako do faceta, uważała mnie za przystojnego, za jakiego nigdy się nie miałem, ale było mi miło” (to Agnieszka Holland) . A innym razem „Poprosiłem (...) do tańca znaną panią archeolog, a ona po kilku krokach nagle wykrzyknęła: «Ty masz oczy jak bizantyjska mozaika, którą niedawno restaurowałam!»”.

„Na uroczystości poświęconej «Solidarności» (...) znalazłem się w dobrym towarzystwie, siedziałem obok Susan Sontag, Kurta Vonneguta i Barańczaka”. Niestety, nie zachowały się dzienniki Vonneguta z roku 1985, nie wiemy, jak jemu się siedziało.

Siadywało się zresztą nie tylko z Vonnegutem. „Spotykałem się z [Miłozem] kilkanaście razy w różnych sytuacjach i w różnych miejscach”.

Zna i potrafi docenić swój dorobek jako artysty. „Najlepiej mi chyba wychodzą krótkie opowiadania, a to trudny gatunek”. „Jestem pewien, że żaden poeta nie napisał tyle wierszy o dzieciach co ja”. Z uznania dla jego wierszy (dla dzieci i nie tylko) znany jest m.in. Stanisław Barańczak. „Barańczak. Dobry poeta, świetny tłumacz. Członek KOR. (...) Napisał entuzjastyczną recenzję z mojego debiutanckiego tomu wierszy”. Chociaż czuje się trochę niedoceniony: „Ileż ja pisałem o czułości, jeszcze zanim Olga Tokarczuk wplotła czułość w swoją mowę noblowską”. Tak to już jest z tymi Noblami. A wie coś o tym, bo przypadło mu być w mieście, gdzie rozdzielają Noble, w szczególnym czasie i roli. „Gdy w roku 1990 przybyłem do Sztokholmu jako pierwszy dyplomata nowej zmiany”, rozpoczyna jedną z nut polifonicznego

alfabetu. Mimo obycia w świecie czekało go na tym stanowisku wiele odkryć: „Okazało się, że ambasada ma szyfranta, wysyłającego i odbierającego zakodowane listy”.

Najbardziej jednak, jak można sądzić z licznych uwag, ceni swój dorobek felietonisty. „W połowie lat 90. pisałem felietony dla miesięcznika «Architektura». Podobały się wielu projektantom, również tym znanym”. A co dopiero nieznanym! „Maciek [Bielawski] tłumaczył (...) [moje] felietony pisane przez jakiś czas do «Moderna Tider», był to jedyny poważny intelektualny miesięcznik w Szwecji w tamtym czasie”.

Wiele się dowiadujemy o okolicznościach powstania tych tekstów: to ważna wiedza dla przyszłych badaczy. Wymieniony został na przykład „mój wiejski drewniany dom w Maciejowie, pod lasem”. Czemu? „To miejsce zainspirowało wiele moich felietonów”. Nie tylko miejsca zresztą inspirowały, ale i ludzie. Pani Frania „nie sprzątała może najlepiej, ale dostarczyła mi wielu tematów do felietonów”. Dzięki tak różnorodnym faworom Muzy, „kiedy odkryłem, że wszystkie dostępne moim ograniczeniom tematy mam już zajęte, przecież pisałem o architekturze do „Architektury”, o książkach do „Ex Librisu” i „Polityki”, o polityce i obyczajach do „Kultury” w Paryżu, została mi tylko jedna dziedzina, na której trochę się znam – seks (...). Zaproponowałem felieton o seksie «Twojemu Stylowi». I przyjął się”.

O tym, jaką te felietony mają wartość, wnosi z reakcji innych. „[Mrozek] tak ciepło i serdecznie mówi o moich tekstach w «Kulturze», których jest czytelnikiem”. „Agnieszka [Osiecka] lubiła moje felietony pisane dla «Kultury»”. „Wszystkie piękne, kreślone delikatną, oszczędną, ale wyrazistą kreską” (to Kapuściński). Prawdziwą miarą wielkości jest

jednak zdolność dostrzeżenia wielkości w innych („Ceniony poeta i opozycjonista. A też dobry felietonista” – pisze o Antonim Słonimskim, s. 245). Nawet bardzo różnych od nas: „Ojciec na niego [Słonimskiego] narzekał, że jest narcystycznie skupiony na sobie”.

Inna rzecz, że za te felietony przyszło się naprawdę sporo wycierpieć. „Kiedyś byłem lubiany. To się skończyło, gdy zacząłem pisać swoje felietony. (...) Od początku wymyśliłem sobie, że będę pisał szczerze i mocno. Też o ludziach. A ludzie nie wybaczą prawdy”. Bywa, że bardzo konkretni ludzie. [Córka Adama Bromberga] „zablokowała wybór moich felietonów, (...) który Adam [Bromberg] chciał wydać po szwedzku”. Wzięła i zablokowała! I jeszcze Janusz Głowacki. „Opisałem go w swojej książce (...) Nie chciałem, żeby było to złośliwe, ale tak to odebrał i gniewał się na mnie przez wiele lat”. Ba, „zdarzało mi się krytykować go [Adama Michnika] tu i ówdzie. Mam wrażenie, że dokuczał mi za to przez lata, używając do tego «Gazety»”. Zastrzega się: „Ale to może tylko moja mania prześladowcza”. E, chyba nie.

A przecież powstawały te felietony przy wsparciu najlepszych. „Czasem dzwoniłem do Krawczuka, gdy potrzebne mi były jakieś informacje do tekstu o przeszłości. Pamiętam, że jak pisałem artykuł o goleniu się, zadzwoniłem do niego, pytając, jak to wyglądało w starożytności. Od razu zrobił mi wykład”. Dobrze, że z nim nie tańczył.

Ale dość już tych żartów. Nacierpiał się. „Z powodu mojej częściowej abstynencji miałem w życiu wiele przykrości”. „Wrażliwość na architekturę przysparza mi wielu cierpień”. A jednak pozostał moralnie

nieugięty. „Proponowano mi oczywiście wielokroć, abym donosił (...). Odmówiłem z łatwością co, jak się okazało po latach, nie dla wszystkich było łatwe”.

O znajomych pisze szczerze, odważnie, nienawidzi werniksu i ugrzecznienia. „Miał dobry, chropowaty głos, ale był niezbyt rozgarnięty” (Przemysław Gintrowski). „Podczas recytacji nagle wbiegł na podwyższenie, krzycząc piskliwym głosem” (Władysław Bartoszewski). „Była wziętą pisarką, była zdolna i ładna” (Manuela Gretkowska). Czasem się reflektuje: „Użyłem czasu przeszłego, może to krzywdzące” (o Gretkowskiej). Albo: „Bywam niestety nietaktowny, ale widzę to zwykle dopiero po jakimś czasie”.

A czasem się nie reflektuje. „To niejedyny prawicowy publicysta, który zionie nienawiścią i pogardą” (o Bronisławie Wildsteinie). „Waldek Darmetko. Kolega z klasy, nie było w nim nic ciekawego, wyglądał też nieciekawie. A piszę o nim, bo przypadki są ciekawe”. To miło, że pisze o ciekawym przypadku. Dzieci pana Waldka też się ucieszą.

Niedocenione pozostawały dotąd jego talenty analityczne. A przecież okazuje się mistrzem genealogii i rozróżnień. „Polska prawica narodowo-katolicka (...) Jest spadkobierczynią przedwojennej endecji”. Prawicowo-narodowy „stał się też Marek Nowakowski”, a Władysława Bartoszewskiego nienawidziła „nasza prawica narodowa”. Jest też jednak „Polska prawicowo-narodowo-katolicka”, tej „bali się Wajdowie” (Czyli nie bali się Nowakowskiego, bo tylko prawicowo-narodowy, bez katolickości?). Te rozróżnienia się gmatwają, na przykład Paweł Hertz „stał się idolem polskiej prawicy narodowej, tej mniej mrocznej”. Czyli jest prawica narodowa mroczna i mniej mroczna. Chociaż ta mniej

mroczna też nie jest specjalnie jasna, bo ten Hertz został idolem „chyba trochę z braku laku. Zawsze mieli wielkie braki kadrowe w sferze intelektualnej i artystycznej”. Niełatwo się wśród tych rozróżnień odnaleźć, tym bardziej, że na przykład w latach 90. „Kwaśniewski nie był wtedy jeszcze nasz”. Dobrze, że już jest.

Czasami zdarzają się niemiłe niespodzianki. „Ale Herbert w obozie narodowo-prawicowym?” Oczywiście, choroba. Już w „Hańbie domowej” „Ten [Herberta] żal, tak długo tłumiony, z tym większą siłą wytrysnął”. To nie jedyny pikantny fragment, w końcu mamy do czynienia z klasykiem prozy erotycznej, gdzie indziej czytamy więc: „Cała nagonka prawicy na Holland za ten film [„Zieloną granicę”] (...) obnażyła do końca obóz prezesa, coś okropnego”.

W odróżnieniu od zionącego pogardą Wildsteina nasz autor pisze o innych ludziach, zwłaszcza z innej warstwy społecznej, z autentycznym szacunkiem, bez krzty paternalizmu. Było już o kelnerze Darmetko, a jeszcze w czasach drukowania bibuły „pamiętam, jak pewnej nocy odwiedziłem tajną drukarnię. (...) Otworzyli mi drzwi prości, odważni ludzie, właściciele domu”. No i jeszcze wspomniana już Pani Frania: „Było w niej to, co najlepsze w polskim ludzie, choć też jakiś rodzaj jego ograniczeń”. Nic dziwnego w końcu, skoro „w tej [polskiej] wsi tkwi nadal wielka blizna, została po pańszczyźnie, bo chłopci polscy byli niewolnikami”. Nie da się ukryć, niełatwo się zbliżyć z tym ludem, nawet w wyjątkowych okolicznościach, np. w obozie internowania: „Było wśród nas poczucie braterstwa (...), ale niektóre obyczaje wydawało mi się orientalne. Demonstracyjna religijność”. Te Ramadany na Białołęce rzeczywiście przeszły do legendy.

Nawet pisząc o kelnerach, alkoholikach i praczkach nie szczędzi nam prawd, które odkrywają, można powiedzieć, oświatę świata, oddzielają jasność od ciemności niewiedzy. „Wybitny malarz i pisarz” (o Józefie Czajkowskim). „Wszyscy jesteśmy aktorami i gramy wiele ról w życiu”. „Google stał się globalnym kosmicznym indeksem”. „Cienka jest granica między miłością a nienawiścią”. „Sny karmione przez naszą podświadomość mogą być cennym materiałem dla psychoterapeuty, jeśli jest wystarczająco bystry”.

I jeszcze kilka metafor. „Jak muchy na jesiennej szybie umierają znajomi”. „Nawet najlepsze teksty piosenek wyjęte z muzyki są jak ryby wyjęte z wody”. „Okruszki wspomnień są zwykle przypadkowe, zależy, gdzie wiatr osadzi pyłek pamięci”. „To zawsze wielki smutek, gdy traci pamięć ktoś, kto pamiętał tak wiele. Jakby zapadała się w nicość wielka góra”. „Jak antykoncepcja oddzieliła seks od prokreacji, tak komputer odsuwa piszącego od kartki”. Takie właśnie owoce potrafi przynieść ten wielki trud pisania, „katorżnicza praca nawlekania liter na słowa, a słów na zdania”.

Nic dziwnego, że „kiedy spotykaliśmy się [z Jerzym Giedroyciem] opowiadałem mu o małości i narcyzmie naszego intelektualnego środowiska, a on unosił oczy do góry i wzdychał”.

*Wojciech Stanisławski*

Tomasz Jastrun, „Alfabet polifoniczny”, Wydawnictwo Iskry, 2024

---

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---